O WYBORACH

DO AKADEMII

i artykule „Kraju.“

Szujski J.

(Osobne odbicie z „Czasu“, Nr. 112).

W KRAKOWIE
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1872.

Hejże! na Soplicę!

Już tak widać zapisano w gwiazdach, że podpisany zawsze z *Krajem* walczyć jest przymuszony, czy go *Kraj* gani, czy chwali. Niespodzianie zdarzył się ten drugi wypadek: *Kraj* wyjął mnie w zaszczytnem towarzystwie pp. Pola i Kremera z pod ostracyzmu, którym resztę wybranych z Oddziału nauk moralnych i archeologii do Akademii umiejętności w Krakowie dotknąć mu się podobało. Wysunięty z świeżego grona najbardziej ku walce na polu dziennikarstwa, a najmłodszy zarazem, czuję się obowiązanym powiedzieć słowo o wyborach do Akademii i artykule *Kraju*, windykując dla siebie zarzut współwiny w zarzutach przez ten dziennik miotanych, a nieroszcząc sobie prawa do uznania na szkodę starszych kolegów niesprawiedliwie mi okazanego.

Rok upłynął, jak Najjaśniejszy Pan pismem odręcznem 2 maja 1871 r. polecił Towarzystwu naukowemu utworzenie Akademii umiejętności w Krakowie. W krótkim stosunkowo czasie, dzięki dobrej woli i pracy swoich i obcej narodowości osób,

dzięki solidarności Towarzystwa, przeprowadzono wszystko, czego wejście w życie woli Cesarskiej wymagało: statut Akademii, jego przyjęcie, zapewnienie W. Rządu, że za uposażeniem akademii przemawiać będzie. Łaska Cesarza i Arcyksięcia Karola Ludwika, zgodne i chętne poparcie mężów stanu, odmiennych politycznych systemów, niezmordowana praca i zabiegliwość księcia Jerzego Lubomirskiego, prezesa Dra Majera i Komitetu Towarzystwa; wszystko składało się na doprowadzenia do skutku pięknego dzieła, które jakby opatrznościowo stanąć miało w rocznicę utraty politycznego bytu narodu, jako przyszła skarbnica sił jedynie skutecznych ducha i nauki. Nie trzeba na to zbyt miękkiego serca, aby uczuło wzruszenie do łez pobudzające, na widok początku i postępu tej sprawy, jeżeli to serce mieścić miało w sobie coś więcej prócz sieczki frazesów o ojczyznie, bo pamięć jej boleści i upokorzenia i świadomość jej nieodbitych potrzeb. Dobija się nareszcie do kresu, w rocznicę prawie objawienia woli cesarskiej przychodzi do wyboru pierwszych członków i oto podarkiem, którym *Kraj* szczęściem papierowy, obdarza Akademię, jest kamień potępienia rzucony w oczy powstającej instytucyi, jest wołanie na gwałt, że wybór jest robotą krakowskiej parafiańszczyzny, z treścią statutu niezgodnym wyborem, że wstydzić się zań musimy przed zagranicą, Polską i Wiedniem, że nareszcie jest zapowiedzią nie Akademii polskiej w Krakowie ale Akademii krakowskiej w Polsce!

Jeszcze więc kwitnie pyrotechnika dziennikarska, chowana na znaczniejsze wypadki w arsenale redakcyjnym *Kraju*, sztuka przyczepiania siebie do wszystkiego, co sprawia głębsze na kraju wrażenie, sztuka zwracania na siebie oczów, w chwili, gdy

odwrócone gdzieindziej! Pseudorejtanizm krzyczący w niebogłosy, chociaż Polski nie rozbierają! Brawo! brawo! Tylko zapomniano o jednem, że od lat kilku przecież zmieniło się wiele w usposobieniu niepapierowego kraju i ludzi, że przyzwyczajono się do tych dysharmonijnych, a widać do czasu koniecznych głosów, że się poznano lepiej, co kto wart, zapomniano, że prześladowani nabrali naturalnej flegmy i że dziś, jeżeli padnie kamień, jak ów przez *Kraj* rzucony, determinuje się spokojnie jego skład chemiczny dla wiedzy społeczeństwa i umieszcza się go w — bruku, wiodącym do przybytku pracy, przez spokojnych ludzi prowadzonej. Dzisiaj uważa się takie rzucenie kamienia za pierwszy chrzest i oczekuje spokojnie drugiego. I nie obawia się wrażenia podobnych kamieni na zagranicę, Wiedeń i Polskę, bo i za granicą znają się na tej mineralogii, a w Polsce lepiej jak gdzieindziej. Formacya — to bardzo prosta: składa się najczęściej z ziemi i wody deszczowej. Siłę rzutu stanowi proca frazesu, popartego zręcznie wynalezionym kruczkiem.

Ale powiedzmy słówko o kwestyi spornej, tem bardziej, że stan rzeczy może być dla wielu nieznanym i że wielu najdalszych od usposobienia *Kraju* ludzi mogłoby się zawahać na widok pięknego meteoru akademickich wyborów w chmurach dokonanego, obejmującego już na pierwszem wstępie siły rozpierzchnione naukowej Polski.

Najjaśniejszy Pan polecił Towarzystwu utworzyć Akademię umiejętności w Krakowie. Towarzystwo ofiarowało wszystko co posiadało od majątku ze składek i darów kraju powstałego do nazwiska swego, aby tego dzieła dokonać. Statut przez prezesa Majera redagowany, przez Towarzystwo przyjęty, przez Najj. Pana zatwierdzony, wskazał jako

modus procedendi wybór 12tu członków, z trzech Oddziałów Towarzystwa, którzy stając się wyrazem Towarzystwa, mieli się stać podstawą, zaczątkiem przyszłej Akademii. Liczba dwunastu zaiste była sprowadzeniem do najmniejszych rozmiarów prawa, z natury rzeczy, z całej przeszłości Towarzystwa, z woli Cesarskiej płynącego. Członkowie Towarzystwa w Oddziałach wspierali je wkładkami, pracami, zebraniami, utrzymywali ruch i tradycyę jego; z niemi odbywały się negocyacye o utworzenie Akademii, oni postawili jej statut — a nikomu nie przyszło dotąd na myśl, aby do tej roboty wzywać członków zamiejscowych od Chili do Petersburga, nikt też z tych członków w stosunkach dobrej woli i zaufania z ogniskiem zostających, którzy objawiali tyle radości na wieść o tworzeniu się Akademii, nie zgłosił się do nich z tą pretensyą.

Akademia nie powstaje na gruzach Towarzystwa, Towarzystwo w pełni życia przeobraża się na Akademię, czyli, co jedno, Akademia jest Towarzystwem, które statut swój zmieniło na korzystniejszy i lepszy, któremn podała rękę pomocną wola Cesarska, aby weszło w nową epokę szerszego i skuteczniejszego bytu. Już ten stosunek wymagał, aby nowo przybrać się mający członkowie Akademii grupowali się około przedstawiających Towarzystwo dawniejsze, inaczej nie byłaby to instytucya wynikająca z przeobrażonego Towarzystwa, lecz całkiem inna, której, jako takiej, Towarzystwo nie miało prawa odstępować swojego majątku i wiązać z nią swoich członków. Że zaś moralnymi właścicielami tego majątku byli jedynie członkowie czynni miejscowi, oni więc a nie kto inny musieli stanowić pierwszy zawiązek Akademii.

Wybór dwunastu nie był zatem ani wymiarem najwyższego zaszczytu, ani mógł obejmo-

wać całości literackiego i naukowego świata polskiego, wybór ten był położeniem węgielnego kamienia z materyału, który miał być tym węgielnym kamieniem. był użyciem prawa przez Oddziały Towarzystwa, które im służyło, był wywiązaniem się z obowiązku nadania przyszłej Akademii takiego kierunku, jaki Towarzystwo za najlepszy uważa i jaki tylko wola Cesarska zastrzeżoną możnością niepotwierdzenia 12tu członków zmodyfikować może.

Jak wszędzie, w każdej sprawie, tak i tu, niech raczy *Kraj* przyjąć tę lekcyę abecadłową; rzecz odbywa się w czasie, miejscu i przestrzeni, a nim się o czemś pisze, trzeba sobie dać odpowiedź na zapytania: *Cur? quomodo? quando?*

Zapytania takie są szczególniej zbawienne, jeżeli się nieszczęściem straciło możność uszanowania innych motywów, które w tym wypadku kazały przestawać na interpretacyi statutu przez jego autora prezesa Majera, a zastanowić się nad przyczyną, dlaczego za wnioskiem członka Leona Chrzanowskiego nikt nie wstał, tak, że ten jego indywidualném pozostał przekonaniem. W takich wypadkach zwyczajni śmiertelnicy powiadają sobie: Przecież ten Majer nie wygląda na zdrajcę literatury, nauki i języka polskiego, bo gdym nosił koszulę w zębach, on już, dalipan, coś tam robił i pisał, i stawiają sobie syllogizm: Ci czterdziestu dwóch mają wybierać do Akademii, powołani zostali w tym celu—toć doprawdy musi być jakaś słuszna przyczyna, że nie wybierają dzisiaj Małeckiego, Bielowskiego, Cieszkowskiego, Libelta, Maciejowskiego itd. itd., bo juźcić chyba wiedzą, że istnieją na świecie!

Motywa takie zwykle ludziom nakładają milczenie, ale darmo! są i tacy, dla których nie ma moty-

wów, którzy nie chcą ani powagi, ani informacyi, ani zaufania — bo zginąłby frazes! frazes! bóstwo ich życia, koturn przydający wzrostu. Więc dla czegóż nie iść z literą przeciw duchowi całej sprawy, z kruczkiem przeciw argumentom, a nadewszystko z Polską oświeconą bengalskim ogniem frazeologii przeciwko tej, co o Baltyku i Czarnem morzu każdej chwili nie mówi, ale radaby chociaż blisko źródeł Wisły coś dla przyszłości zbudować. Dla czegoż nie uczepić się zdania jednego przeciw wszystkim, chociaż to zdanie upadło, kiedy zdanie to obiecuje temat na dłuższą i efektowną waryacyę, na sytuacyę dramatyczną Rejtana nauki i literatury polskiej, rozciągającego się płatem trzechszpaltowego artykułu przed Ponińskim—Majerem i Dunajewskim — który jako k. k. Regierungsrath, weźmie na siebie rolę Repnina! Ale nasi efektowicze mają i zdolność małych Bismarków. *Divide et impera!* W liczbie ośmiu, podnieść trzech; pominąć milczeniem pełnym lekceważenia trzech, potępić dwóch!

Pol i Kremer! no! to rzecz prosta, o tych wie każdy szlachcic na wsi, a bodaj czy i nie przyjazne w mieście, patryotyczne sfery. Szujski? czy nie teatralnie pięknem będzie, jeżeli umieścimy jego — nieprzyjaciela w tylu bojach, z anielskiem za współradakcyę Teki Stańczyka przebaczeniem, a z wdzięczności, choćby za polemikę z Przeglądem lwowskim, podającym sposobność do naszego dowcipnego artykułu: Ultramontanie i moderanci?! Ale za to, cóż nas obowiązuje wiedzieć, że prof. Antoni Walewski napisał jakąś tam katolicko-monarchiczną *Historyę wyzwolenia Polski za Jana Kazimierza* w IV tomach, na nowych, archiwalnych źródłach opartą, która jeźli rzuciła jasne na dzieje Polski światło, to w każdym razie dosyć

dla nas niemiłe, aby je chociaż parawanem naszego dziennika osłonić nie przychodziło; cóż nas obowiązuje, aby z p. Lucyanem Siemieńskim przypomnieć sobie piękny i czysty język, mistrzostwo stylu, potęgę jego krytyki i zdrowego sądu o ludziach i rzeczach nieraz doświadczoną; któż nas obowiązuje, aby wiedzieć o p. Karolu Mecherzyńskim, tak spokojnym pracowniku, że nie przedstawia żadnej barwy polecającej go dziennikarstwu, a chyba uczonym badającym dzieje pismiennictwa, języka, oświaty lub stosunki miast naszych przydać się może! Mecherzyńskiemu, Siemieńskiemu, Walewskiemu książki pomódz nie mogą; Dunajewskiemu za to niech będzie policzony za grzech śmiertelny brak książek, Estreicherowi zaś, że się zajmuje spisywaniem ich tytułów czyli t. z. bibliografią. Kto słyszał o akademiku, jak Dunajewski, który w naszym drukującym tak wiele wieku, drukował tak mało, a jako profesor, jako człowiek publiczny, jako rektor Uniwersytetu dał wielokrotnie dowody tak przestraszającego rozumu i stanowczości, że zapisać go musieliśmy na czarnej tablicy proskrypcyjnej między najniebezpieczniejsze indywidua, niechowające nigdy ostrej prawdy pod korzec, a gotowe nawet bronić zakonnych panien przeciw atakom bezwyznaniowców? Kto słyszał, aby członkowie Towarzystwa, starający się o dobry skład przyeszłj Akademii, śmieli umieścić w gronie pierwszem, gronie wyborczem człowieka, który powinienby przyprowadzić do chwili zastanowienia nasze *tintenklecksendes Saeculum*, nieuznające Walewskiego, Mecherzyńskiego i Siemieńskiego, ale gotowe zawsze zalepić prawdę, zdrowy rozum i dobry gust sążnistemi arkuszami drukowanej bibuły! Widocznie Towarzystwo odstąpiło tu od martwej litery statutu, gdy chodziło o zyskanie światła, nauki

i charakteru człowieka władającego potęgą słowa tak świetnie, jak inni władają piórem, a poszło za przykładem Akademii francuskiej, która nie wahała się głośne osobistości „*de la tribune*,“ umieszczać w gronie swoim! Widocznie wychodziło z przekonania, że sztuczny rozgłos dany ludziom nadymaniem miechów dziennikarskich, nie powinien wpływać na postanowienia jego i wstrzymywać go od użycia człowieka, który znany mu blisko, posiadał wszystkie rzetelne wyboru warunki. Widocznie dzieliło przekonanie, że w naszem społeczeństwie bywają ludzie, których uznanie ma się w odwrotnym stosunku do ich wartości, że za to przez wszelkie rogatki i granice — nietyle sława i zasługa pracy, jak wszechładna siła reklamy i skandalu przechodzić zwykła! Dla czegóż z tej samej przyczyny nie zaryzykować nazwiska Karola Estreichera, dozorcy obszernego a mało odwiedzanego cmentarza druków polskich! Książki nie należą do lubownictw naszego społeczeństwa, a przeważną masę nieuznającą ich potrzeby nie bardzo obchodzi, czy tam ktoś długie dnie i noce ślęczy nad ich inwentarzem, nad umiejętnem zestawieniem tego wielkiego nekrologu prac i trudów, podejmowanych dla honoru nieszczęśliwego narodu, czy tam ktoś pisze lub nie pisze rozpraw o ludziach cichej i mrówczej pracy, chociażby w tych rozprawach była rzadka w literaturze bieżącej roślina, prawdomówność i odważna krytyka. Zalety te oceniła wprawdzie Warszawska szkoła główna w najświetniejszym peryodzie swego bytu, wzywając Estreichera, podówczas urzędnika sądowego, ocenił Uniwersytet, powierzając mu bibliotekę jagiellońską; ale to niedosyć przystępne wszystkim nazwisko, aby nie módz w nie uderzyć!! Estreicher, który zna każdą pracę od półwieku w Polsce wydaną, mógł z tej samej przy-

czyny już przy pierwszych wyborach dla dobra dalszych, być ważnym i koniecznym; ależ przecie któż na tę myśl prostą i naturalną przyjdzie, jeżeli powiemy, że Polska zagrożona, literatura zdradzona, że parafiańszczyzna zwyciężyła — przez wybór Karola Estreichera!

Ale żart na stronę! Nie chcemy autora artykułu posądzać o tak misterne rozumowanie, bo są dziennikarze, którzy zasiadając do stołu wobec czekającego zecera, ani wiedzą, jak z ich wprawnych rąk wychodzi bomba, nadziana najrozmaitszemi chemicznemi pierwiastkami, jak: interes dziennika, wzgląd na jutrzejsze wrażenie, czasem nie miłe wspomnienia i irrytacye, dużo namiętności, wiele frazesów, kilka dowcipnych zwrotów i finał pompatyczny— którzy puszczając ją, zacierają ręce, kontenci z siebie, jak swobodne chłopcy, gdy zbroją figla. Jest to klęska społeczeństwa, której kuracya znaduje się w rękach — przenumeratorów. Dopóki społeczeństwo lubi bomby tego rodzaju — rakietników nie braknie, a ci, których trafiają przymuszeni są brać je na seryo przez wzgląd nie na tych, co się niemi popisują, ale na tych, co się im przypatrują na seryo! Przymuszeni są wobec artykułu *Kraju* powiedzieć, że kto chce mieć sumienie i rozum za wszystkich a nie umie go szanować w ludziach, których rozumowi i sumieniu powierzono danie początku Akademii, kto wszędzie widzi intrygę, koteryjność i konspiracyę przeciw dobru ogółu, ten musi konsekwentnie albo sam sobie przypisywać możność złożenia Akademii, albo być przekonanym, że w Krakowie Akademia stanąć nie może. Autor artykułu, można zaręczyć, nie idzie ani do pierwszej ani do drugiej konsekwencyi: on zrobił swoje co chciał a może — dla czego mamy go

posądzać nie znając go osobiście, zrobił może to, czego nie chciał.

W każdym razie nigdy jaśniej, wyraźniej i wymowniej nie wystąpiła trafność pojmowania statutu wedle interpretacyi Prezesa Towarzystwa, jak po artykule *Kraju*. Nie łudźmy się: Akademia stworzoną i urządzoną, w ruch puszczoną być może tylko wbrew i wśród namiętnej opozycyi całego zastępu burzących żywiołów, widzących w niej nieznośny dla niwellacyjnego swego kierunku hierarchii umysłowej żywioł, okazujących dla niej tem większą miłość, im głębsza, nieświadoma może, nerwowa palić ich będzie niechęć, otaczających ją pieczołowitością, która nieoparta na znajomości o jej warunkach, będzie bez pożytku i szkodliwą. Jest to tajemniczy objaw społeczeństwa, za który jednostki tylko w części odpowiadać mogą, który jest wyrobem lat długich nieszczęśliwego stanu naszego. Wobec tego objawu ciężkie próby czekają nową instytucyę, która żyjąc wśród społeczeństwa, wpływom jego ulegać musi. Tylko jednolitość kierunku, tylko twarde stanie przy raz wytkniętej drodze może jej też zapewnić świetną i dla kraju zbawienną przyszłość. Tylko l u d z i e, którzy się znają wzajemnie i długie czasy wśród wspólnych doświadczeń przebyli, ludzie, którzy wyszli z instytucyi mającej ciągłą praktykę wspólnego, zbiorowego życia, ludzie, których dobrano do siebie, nie tylko jako autorów, ale jako jednostki naukowego kierunku i zgodnego na zadania Akademii poglądu, mogli się stać jej punktem wyjścia, bo oni to lepiej niż zamiejscowi, z powołania swego, z natury rzeczy mogą postarać się o to, aby nie była tylko demonstracyjną listą znakomitości ale przybytkiem i ogniskiem pracy naukowej. Nic też łatwiejszego jak przewidzieć, że i na przyszłość, pry-

watni układacze list idealnych będą mieć obfity do krzyku przedmiot, że wielu w wyborach pozostanie dla nich nie wytłómaczoną a raczej na opak tłómaczyć się dającą tajemnicą, chociaż Akademia, da Bóg, umieści pod dachem swoim wszystko, co na to zasługuje, co na rzetelną narodu cześć i wdzięczność zapracowało, chociaż otworzy na oścież bramę swoją młodym siłom, umiejącym i chcącym pracować... Ale darmo! lista jest ograniczoną a prawdopodobnie nie zaraz wypełnioną będzie. Jakież pole do gry ambicyi i namiętności przy niewyrobionych u nas pojęciach o warunkach akademika, przy tym stanie przejściowym całego naszego umysłowego świata, z epoki literatury w szerokim tego słowa pojęciu do umiejętności? Ile przedmiotu do nieporozumień, do wręcz przeciwnych ocenień ludzi i dzieł, do najdzikszych pretensyj i najniesprawiedliwszych gniewów i uprzedzeń!

A to wszystko w społeczeństwie, gdzie wszyscy wyrokują o wszystkiem, gdzie niezastosowano jeszcze do Akademii wierszyka:

Panie majster,
To nie smoła ani klajster!

gdzie co chwila spotkasz chodzące encyklopedye wiedzy i niechybne drogoskazy godności i chwały narodowej! Zaiste, kamień rzucony przez *Kraj* jest tylko małym zadatkiem tych smaków, które czekają na „wygodnych akademickich fotelach“ (nie ma ich jeszcze) pierwszych dwunastu i ich przyszłych towarzyszy.

Ale darmo! Akademia może sobie napisać nad drzwiami, wiodącemi do sali o wygodnych fotelach wiersz swego członka, W. Pola:

Twardo Polska synów dzierży.
Nikt tu w służbie nie pogłaska,
Bo narodu dziwna tkliwość
Bez zasługi — jego łaska,
A wyjątkiem — sprawiedliwość —

byle sobie także powiedziała z spokojem, że Polska polityczna czy umysłowa, Polska pełna zdolności, ale pełna zastarzałych narowów — także twardego potrzebuje dzierżenia.

J. Szujski.